

Fredochryje

- Nie możemy panu tego wyciąć. Kasa chorych nam tego nie uzna, bo takie zabiegi kwalifikujemy do kaprysów medycznych - wyjaśniła pani doktor Fredowi, któremu wyrósł jakiś pypeć na języku, a nie chciał tego pypcia.

- Zaczynam seplenić - argumentował Fred.

- To jeszcze nie tragedia.

- Ale mnie to komplikuje psychicznie - perswadował Fredziu.

- A od tego są psychiatrzy. I dobrze się składa, bo tę akurat specjalizację ministerstwo zdrowia nie objęło żadną reglamentacją, więc zapraszam w przyszły czwartek piętro wyżej. Przyjmie pana taki dziwny facet. I proszę go nie denerwować.

- Dzień dobry - Fred grzecznie w ten czwartek.

- Nigdy nie ma dobrego dnia. Kto panu takich bzdur naopowiadał? Sami idioci dookoła.

Był łysym i tęgim mężczyzną i nosił dwie pary okularów - jedne tam, gdzie my wszyscy, a drugie na czole jak aktorzy, co trochę przysłaniało łysinę i nie było już tak, że tylko czoło, czoło i zaraz plecy.

- Źle się czuję - powiedział doktor. - Nie powinienem dzisiaj z nikim rozmawiać.

- To może przyjdę w przyszły czwartek?

- Będzie jeszcze gorzej. Zona przywozi mamusię. Ma pan żonę?

- Nie mam - odrzekł Fred.

- To co pana doprowadziło do takiego stanu?

- Jakiego stanu ?

- No dobrze... Kiedy ostatni raz chciał się pan wieszać?

Fred nie mógł sobie przypomnieć.

- No dobrze •.. Pan jest w wieku pogwarancyjnym?

- Jakim?

- No koło pięćdziesiątki.

- Czterdzieści siedem.

- To już andropauza.

- Ze co ? - przeraził się Fred.

- No dobrze ... Więc do rzeczy. Słucham.

- Mam na języku ...

- Proszę mówić prawdę, a nie co ślina przyniesie - zdenerwował się doktor.

- Mam na języku ...

- Do jasnej cholery z pańskim językiem. Chce pan nawiązać kontakt z rzeczywistością czy nie?

Wizyta nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Pypeć pypciał i u Freda nastąpiły już takie zmiany logopedyczne, że w niektórych zdaniach w dbałości o komunikatywność, zmuszony był pomagać sobie językiem migowym, pozostała więc tylko wizyta u znachora, bo lepiej nie oczekiwać, że nowa reforma służby zdrowia, wyjdzie Fredowi na zdrowie.

MARATON

Już od dziesiątej biegamy sobie z Fredem wokół ratusza.

- Kiedy nas zauważą? - dociekał Fred.
- Nie wiem.
- Mogliśmy napisać na koszulkach, że chcemy cbleba.
- To wyszedłby jakiś pełnomocnik i powiedział, że tu jest urząd a nie piekarnia.
- To może jakieś pieniądze na cbleb? - Fred znowu swoje.
- To ten sam pełnomocnik poinformuje cię taktownie, że mennica jest kilkaset kilometrów stąd i nie tą trasą biegamy.
- Które to już okrążenie?
- Szesnaste.
- Po co my w ogóle biegamy? - sapał Fred.
- Dawaj, dawaj.

Rudowłosa dziewczynka sblodziła nas wodą, a towarzyszący jej dziadek dopingował nas bymnem. Kaktus przywiózł nam koszulki z Niemiec o bardzo zróżnicowanych numerach - ja czterdziesty drugi a Fred siódmy i przy dwudziestym czwartym okrążeniu zebrało się już sporo ludzi, bo zapewne czekali na pozostałych zawodników.

- Nie rozumiem, po co my tak biegamy?
- Dawaj, dawaj - ponaglałem Freda.

Zaczął się kondycyjny kryzys, ale na szczęście ktoś z ratusza wpadł na zbawczy dla nas pomysł i wystawiono na naszej trasie stoliczek z żarciem do błyskawicznej regeneracji. Tłum gęstniał, ale kiedy podjechała karetka, solidarnie się rozstąpił i pozwolił zagwarantować nam ewentualną medyczną obsługę w niezwłocznym tempie.

- Kurwa, po co my tak biegamy? Gdzie jest meta?
- Dawaj, dawaj.

I biegliliśmy z Fredem łeb w łeb. Straż Miejska otoczyła stolik, bo rzesza fanów zaczęła kraść nam kanapki, ale dołożyli.

- Zobaczysz, że to się źle skończy - dyszał Fred.
- Musimy zaisnieć.
- Już lepiej było się podpalić. Wypierdalajmy stąd. Jak ty coś wymyślisz •..
- Już ja wiem, co ja wiem. Zobacz, znowu dokładają kanapki. Nie rozumiesz, że trzeba dobrze biegać wokół ratusza, bo inaczej zdechniesz z głodu?

I Fred nareszcie zrozumiał intencję tego morderczego maratonu.

- No to dawaj, dawaj - teraz on mnie ponaglał.

O MODZIE

Mieliśmy kanapki, no i to do kanapek o imponujących procentach, kiedy podszedł do nas Lord - jak zawsze wygalantowany, bo ma kuzyna-Iumpeksiarza i tamten mu w porę mówi, kiedy ciekawe ciuchy.

- Połać?

- Połać.

- Co ty masz za krawat? - zapytałem Lorda, bo ładny był ten krawat.

- Włoski. Wszystko mam włoskie. Buty tylko niemieckie.

- Ładnie ci. Nie mógłbyś załatwić nam jakieś porządne ciuchy?

- Dostawa będzie za dwa tygodnie z Anglii, a z Hiszpanii za tydzień - odparł. - Wczoraj były francuskie koszule. Kupiłem sześć kilo.

Mówił prawdę i akurat trafiliśmy na hiszpańską dostawę, ale coś było nie tak z naszym duchem mody, bo gliniarze wzięli nas za torreadorów i chcieli paszporty

- Mogliśmy poczekać na dostawę z Anglii - zauważyłem.

- To poczekamy - odparł Fred. - A te ciuchy przydadzą się w jakimś karnawale. Szpady się tylko dokupi.

Tych angielskich łańców to kupiliśmy dwa worki, a Fredowi nawet smoking się trafił i buty z łyżwami do jazdy figurowej na lodzie. Byliśmy odziani na parę ładnych lat, nie wspominając o hiszpańskich zapasach, od stóp do głów. No może nie do głów, bo nie kupiliśmy żadnej czapki. Kiedy potem poszliśmy do parku zademonstrować się, wszyscy patrzyli na nas podejrzliwie, bo tyle w nas było elegancji, że wyglądaliśmy na skorumpowanych.

- Dzień dobry, pani Jordanowa ! - Fred zawołał do znajomej.

Uciekła.

- Ale pogodę mamy, prawda? - Fred znowu do jakiegoś znajomego.

Też uciekł.

- Co im się, kurwa, stało? - Fred spojrzał na mnie.

- A skąd ja mogę wiedzieć? Może to przez te ciuchy? Lorda też nie lubią.

I tak snujemy przypuszczenia, z jakiego powodu mamy sobie współczuć.

- My chyba nie pasujemy do dzisiejszej mody - powiedziałam.

- A co tu jest w modzie?

- Bieda, Fredziu, bieda.

JASNOWIDZ

Do południa było spokojnie, ale o czternastej taki tłum zgromadził się przed U rządem, że pomyślałem: - albo strajkują albo bombę podłożyli, więc pytam kobietę z dzieckiem na obu rękach:

- Co jest?
- Jeszcze nic nie wiadomo.
- Co nic nie wiadomo? - wstałem z ławki i w żyrafiej pozycji dociekam szyją, żeby lepiej zobaczyć.
- Jeszcze nic nie wiadomo - powtórzyła. - Zaraz przyjedzie.
- Kto przyjedzie?
- Na jasnowidza czekają. Jakiś Harison z Anglii.
- O, kurcze. A po co nam jasnowidz?
- Opozycja go ściągnęła. Wiem, bo moja córka pracuje w U rządzie. Chcą udowodnić, że cały budżet, zagospodarowanie przestrzenne i inne prognozowania w ostatnich uchwałach są do niczego i jasnowidz ma to rozstrzygnąć.
- O, kurcze, A dlaczego z Anglii? - zapytałem kobietę z dzieckiem teraz już na jednym ręku.
- Bo autorytet w prognozowaniach gospodarczych.
- Telewizja będzie?
- Nie będzie. Zastrzegł sobie kameralność. Wszystkie sporne dokumenty dotyczące rozporządzeń i uchwał mają być złożone w sali konferencyjnej na okrągłym stoliczku, a okna zasłonięte zielonymi kotarami. Potem Harison zamknie się w tej sali i mocno skontemplowany położy na tych dokumentach dłoń na dwadzieścia sekund.
- O, kurcze.
- I wtedy wyjdzie tak, albo tak.
- O, kurcze.

Potem wydarzenia potoczyły się aż za szybko. Harison wysiadł z limuzyny, ozdobił sobą przez moment portal II rzędu, po czym zniknął w tym wielopartyjnym zamczysku i dobrze, że nadszedł Fred.

- Nic jeszcze nie wiadomo - powiedziałem do Freda, przedtem relacjonując mu konspektowo, o co chodzi. - Wyjdzie tak, albo tak.

Byłem tak zdenerwowany, że spaliłem Fredowi z pięć papierosów. Kobieta z dzieckiem na jednym ręku wmieszała się w tłum i obiecała nam niezwłocznie zrelacjonować, czy wyszło tak, albo tak. I potem stało się. Kobieta wróciła cała biała i tak rozdygotana, że dzieciak nie mógł się nacieszyć tym potrząśaniem.

- No i co, no i co?
- Harisona zabierają do szpitala - dygotała dalej, a dzieciak był wniebowzięty.
- O, kurcze. Co się stało?
- Nie wytrzymał napięcia. Kiedy położył dłoń na tych dokumentach na dwadzieścia sekund, to już po trzech dostał wysypki po sam łokieć. Nie może ruszać ręką.
- O, kurcze - nogi się pode mną ugięły. - I co to znaczy?
- Opozycja ma szansę wrócić do koryta - odparła
- Może wreszcie będzie dobrze- głośno zadumał się Fred.
- Jakie tam "dobrze" - zdenerwował kobietę. - Boże, jaki pan głupi politycznie. Wszystko będzie po staremu.

I w zgodnym milczeniu usiedliśmy sobie na ławce w tym naszym parku.

PROTEST

- No jedz!
- Już nie mogę,
- Mówię ci jedz! Chociaż jeszcze te dwa mielone,
- Nic mogę.

Nasze przygotowania do głodówki trwały od paru ładnych dni i Fred świecił się już cały od nadmiaru tłuszczu. Pozostało tylko na wszelki wypadek wykopać pod ławką w tym czystym parku jamę o charakterze spizarni i zamaskować ją skrzątnie, po uprzednim zaopatrzeniu w produkty z przedłużonym terminem ważności, a cała ta aprowizacja miała być dokonana na całkowicie konspiracyjnych zasadach, co nie było proste w centrum Miastka, bo właśnie przed ratuszem mieliśmy zademonstrować naszą rozpaczliwą wolę nie przetrwania, o ile nasze żądania zostaną spostonowane przez cały ten buńczuczny magistrat •

- A jak nie pójda na ustępstwa?
- Przetrzymamy ich . Trzeba zakopać dużo sucharów. I na wszelki wypadek trochę wody, Jak będziemy się chwiać na tej ławce, to pomyślą, że z osłabienia i zmiękną
- W telewizji nas pokażą?
- Na pewno w dzienniku, panoramie ,a najpierw w teleekspresie
- O kurcze. Chyba będzie można kogoś pozdrowić? Jadzka jest w Rabce,

Nasze przedgłodówkowe przygotowania dobiegły końca i zasiedliśmy z Fredem do ostatniej wieczery,

- No jedz, Fredziu .
- Ja już nie mogę.
- Skończ chociaż tę golonkę,
- Nie dam rady. Nie mogę się już doczekać tej głodówki.

Potem rozwiesiliśmy nad ławką transparent o głodowym komunikacie: " Będziemy zdychać z głodu za bezrobocie miastecznego grodu" , i zaczęło się •

- A jak dadzą robotę? - przeraził się Fred .
- Co się boisz? Nie dadzą. Tylko naobiecują, A zobaczysz, jak będą się z nami liczyli w opiece społecznej. Niemowlakom zabiorą i nam dadzą a burmistrz to przyjdzie do nas na imieniny.

Cały dzień nic nie jedliśmy, bo nie było czasu, żeby spod ławki coś przemyścić, tak tłumnie zwiedzały lias rzesze miastczan , Ratusz siedział cicho do samego zmierzchu i dopiero potem, jak w Sylwestra, we wszystkich oknach zrobiło się rzęsiście od świateł ,

- Debatują .
- Rano przyjdą pogadać.

Śniadanie zjedliśmy dopiero po północy, a komary to nam tak mordy skatowały, że przez tę opuchlizną rano nie mieliśmy oczu i kiedy potem przyszli przedstawiciele władz, pertraktowaliśmy z nimi w ciemno, bo żaden z nas nie widział, z kim gada.

- Kogo reprezentujecie - upewniał się Fred ..
- Całe Miastko - kłamali ratuszowcy .
- Akurat . To my z kolegą reprezentujemy całe Miastko, bo jesteśmy głodni.

-A kto wam nie każe jeść?

-A żarcie weźmiemy niby spod ziemi? - zapytałem szyderczo i zaraz pomyślałem, czy nam suchary nie zamokną. - Nie gadaj, Fred , z nimi.

Najpierw niech przejrzą na oczy.

- To wy nic nie widzicie. - ratuszowcy znowu swoje.

-Bo komary ...

-Jakie komary ?

-Nie chce nam się z wami gadać - Fred podcytował kawałek jakiegoś filmu.

Pełne cztery doby trwały przekomarzania , a każdego ranka byliśmy trochę wypici i Fred intonował na całe Miastko zachodniopomorską wersję Marsylianki , żeby ratuszowców szlag trafiał. Dopiero w piątek z należną estymą potraktowali nasze postulaty i jakiś gość od socjału przyszedł z całą teczką pełnomocnictw, a dwóch z kwiatami stało przy nim i 'wyglądali jak ministranci, po czym oświadczyli godnie, że Miastko ma od zaraz parę wolnych etatów na wykładowców i że od zaraz mamy zacząć jeść, żeby móc od zaraz zacząć wyklądać. No i wykładamy ... polbrukiem.

AGROTURYSTYKA

Fred wymyślił agroturystykę.

- To są takie pieniądze, że się w pale nie mieści 7 argumentował, bo już podjął decyzję o uruchomieniu działalności powszechnie zwaną/gospodarczą,
- Ty zobacz, jakie masz obejście? Kto ci przyjedzie w te pokrzywy? - niepokoił się Kaktus.
- Chaszcze dodają uroku - bronił swego Fred i próbował filozofować: - Matka natura dała nam pokrzywy, więc niech sobie rosną i kwitną według botanicznego zegara.
- A jak jakieś dzieci się poparzą?
- Dzieci to drugie zło zaraz po wojnach i niech się poparzą.
- Poza tym trzeba mieć zdrową żywność - rozsądnie deliberował Kaktus.
- Pewnie że trzeba.

I Fred wytłumaczył skrupulatnie, że wszystko co zdrowe musi być brudne, więc mleko kupi się w sklepie, przeleje w byle jakie wiadro i Kaktus już o szóstej rano ostentacyjnie zanieś je pod przepelnione namioty przy akompaniamencie krowich porykiwań uprzednio nagranych najlepiej na kompakcie i emitowanych bezpośrednio ze stodoły z jakiegoś sony, bo z trzy kury Fred był w stanie kupić, ale nie krowy.

- To nie wypali - kwestionował Kaktus. - Będziemy mało wiarygodni.
- Gumowce usmaruj gównem.
- My nic srającego nie mamy i skąd weźmiesz gówno?
- Problemy stwarzasz. Tak nie podchodzi się do interesu.
- Poza tym jak wygląda ta twoja chałupa? Tylko filmy o wojnie kręcić.

Ale działalność rozpoczęła się wbrew rozterkom i inauguracyjni turyści przyjechali już w pierwszy piątek wakacyjnego kalendarza. Fred przywitał ich nie tam żadną solą, ale tym mlekiem z wcześniej wspomnianego wiadra, a na obiad zaserwowaliśmy świeżutkie ryby w przeddzień rozmrożone, co zaś do kolacji, to każdy agroturystoman miał do wyboru albo ziemniaki w mundurkach, albo bez mundurków, a trzeci wariant przewidywał mieszaną kombinację tych bulwowych rarytasów, więc mundurki i nie mundurki poukładane w rozsądnie ekonomicznych proporcjach. Krowy tylko nie tak ryczały, bo sony się zacięło.

Przychodzi do mnie diabeł, bo mam romans z młodą mężatką.

- Przyniosłem ci trochę wiagry - powiedział. - A jutro obiecał mi Najgrzeszniejszy napój na kobiecą chuć, to wlejesz jej do wina. Wpadnę dopiero pod wieczór, bo w południe mamy złorzeczenia.
- Dzięki. A tak, co słyhać?
- Nerwowa atmosfera. W przyszłym tygodniu mamy wybory w piekle.
- Na kogo głosujesz?
- Diabli wiedzą - powiedział, drapiąc się po rogu i chyba zapomniał przekląć.
- My też mamy wybory.
- U was to już wszystko wiadomo. Opanowałem sytuację. Będzie źle - powiedział z czarzą dumą.
- Znowu będzie źle?
- Pewnie, że będzie źle. Podpuszczam wszystkich, bo zależy mi na premii węgielnej.
Jak na diabła miał całkiem sympatyczny pysk.
- Mogę ci pomóc w karierze - powiedział potem. - Chcesz zostać senatorem?
- Trzeba mieć jakiś program ... - poddałem w wątpliwość jego propozycję.
- Co ty pierdolisz? - zdenerwował się po diabelsku i nerwowo stukał kopytem o podłogę. -
Jaki program '! Od kłamstw to już ja jestem specjalistą i będę ci doradzał, a przemówienia napisze ci moja koleżanka Macicowściekła, bo ma talent jak sto diabłów.
- Chyba że tak.
- Lubię cię, bo jesteś równy rozpustnik i zostaniesz senatorem.
Potem wyrwał z kopyta, a ja do parku, żeby pochwalić się Fredowi propozycją piastowania senatorskiej godności, co przyjął z niekłamana radością.
- A załatwisz mi jakiś stołek?
- Dla ciebie, Fredziu, wszystko.
- Chciałbym zostać posłem.
- I zostaniesz - zapewniłem Freda.- Nawet w opozycji.
- Poznasz mnie z tym diabłem?
- To nie takie proste. Najpierw musisz coś nawywijać. Chociaż coś ukradnij.
- Rower mi potrzebny.
- No. Górski sobie załatw. Zresztą weź od razu dwa, bo mój już wysiada.
Poznam z nim Freda. A bo to po raz pierwszy. żeby osiągnąć polityczny sukces, zawiera się pakt z diabłem?

KOSMICI

Wylądowali na placu manewrowym do nauki jazdy, tu zaraz w dole na przeciw policji i komendant Kujawiak do swoich krzyczy:

- Łapcie tych cudaków i dawać mi tu ich na dwadzieścia cztery!

Wybiegło trzech najodważniejszych, ale jak dobiegli do tamtych, to pały im opadły, bo oni niebiescy i tamci niebiescy, ale z tych trzech jeden był jeszcze odważniejszy i krótko do tamtych:

- Co wy tu robicie robaczki świętojańskie? Pójdziecie z nami. I zgasić mi ten talerz.

Spodek zagwizdał, trzy razy zmienił kolory i zgasili.

- Przodem! Komendant już z wami zatańczy.

A na komendzie jak na komendzie - nazwisko, data urodzenia i miejsce zamieszkania. Pierwszy czułkowiec nazywał się Bix 1424/S, drugi XzX 228, a trzeci jeszcze ciekawiej. Datę urodzenia to podali taką, że przy obliczaniu zaciął się komputer, ale komendant Kujawiak długopisem dociekł, że jeszcze w tym roku wszyscy ukończą dokładnie sześćset trzydzieści trzy lata. Z jednego roku byli. A mieszkali, że trzeba było dać sobie z tym spokój, bo nie było skąd wziąć takiego teleskopu, żeby to sprawdzić.

- Co was do nas sprowadza? - Kujawiak grzecznie do nich. - Tylko bez żadnych kosmicznych kantów.

- Przybyliśmy z pokojową misją. Chcemy poznać wasze zwyczaje i zawrzeć międzykontynentalne układy. A w ogóle, gdzie my jesteśmy?

- Na komendzie.

- To centrum dowodzenia?

- Coś w tym rodzaju. No więc do rzeczy. Po co ten cały bałagan?

- Chcemy bezpośredniego połączenia z waszym centralnym mózgiem i z procesorem o bezapelacyjnych imperatywach.

- Że co?

- Zachodzi konieczność bezpośredniego odczytania waszych dyspozycyjnych danych do wykorzystania koegzystencjalnych możliwości z wyraźnym zaznaczeniem przecinków przeliczeniowych z lat świetlnych na roczne w wymiarze skończonego układu słonecznego.

- O, w mordę! Jeszcze jedna afera. Połączcie mnie szybko z burmistrzem.

- Sesję ma.

- To niech przerwie. Powiedźcie mu, że mamy tu sprawy wagi galaktycznej. Coś jeszcze chcecie?

- Jakiegoś przedstawiciela waszego gatunku. Zabierzemy go w powrotną podróż w celu ...

- Mamy tu kogoś na zbyciu? - zapytał swoich Kujawiak.

- Fred na dołku siedzi. Po pijanemu wjechał rowerem jakiemuś radnemu do ogródka.

- Przyprorowadzić.

Fred jeszcze był trochę promilowy i każdego z tych dziwolągów kilkakrotnie całował po czułkach.

- Z nieba mi spadliście. Mam już dosyć tej naszej ziemi. Odpalajcie!

- A kto zapłaci grzywnę? - wtrącił się młodszy aspirant. - Potem szukaj wiatru w ... - i już nie wiedział, jak dokończyć.

- Wasz przedstawiciel wróci za dwieście czterdzieści trzy lata - zapewnił czułkowiec.

- To będzie już przedawnienie - aspirant słynał z docieklivosti.

- Pójdziemy na rękę i umorzemy - szybko rozstrzygnął komendant, żeby tylko mieć

święty spokój.

Fred wytrzeźwiał na dobre dopiero na rondzie w gwiazdozbiornie Andromedy jak skręcili na Syriusa i natychmiast zażądał laserowego przekaźnika do korespondencji i kiedy tak siedziałem sobie w tym naszym parku, odebrałem fluidalnie wiadomość od niego, że jest dalej niż w niebie i w dupie ma naszą doczesność. Miał wrócić dopiero za dwieście czterdzieści trzy lata i sam byłem ciekawy, czy się tu coś zmieni w tym czasie na lepsze.